



RZEKA

Karolina Milik

Karolina Milik

RZEKA



[Kup książkę](#)

Fragmenty

Copyright © by Karolina Milik

Redakcja i korekta: Emilia Podbielska

Ilustracja: Sandra Serwatko

Oprawa graficzna okładki: Mariusz Bieniek

Wydanie I

Warszawa, 2020

ISBN 978-83-95788-20-8

Ebook ISBN 978-83-95788-21-5

Strona autorki:

www.karolinamilik.com

Facebook: Karolina Milik – strona autorska

Instagram: Karolina_milik

Następnego ranka zastała Zoję siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na okrągłym fotelu. W dłoniach trzymała skórzany notatnik, w którym namiętnie coś pisała. Miała na sobie zwiewną bluzkę z długim rękawem i krótkie materiałowe spodenki, a jej włosy były w jeszcze większym nieładzie niż zazwyczaj. Przez chwilę dziewczyna pomyślała, że cofnęła się w czasie. Zoja wyglądała jak jej rówieśniczka. Kobieta nawet nie zauważyła zbliżającej się Ali, aż do momentu kiedy ta weszła na werandę i zaskrzypiał drugi schodek. Zaskoczona podniosła głowę.

— O, cześć, nie widziałam cię. — Uśmiechnęła się promiennie, odejmując sobie kilka kolejnych lat.

— Cześć, czy to numer 33? — zapytała Alicja, wskazując na zeszyt w rękach Zoi.

— Tak, kolejny do kolekcji. Chociaż na pewno mniej interesujący niż pozostałe — odpowiedziała i wróciła do pisania. — Siadaj albo zrób sobie herbatę, ja zaraz skończę — dodała, nie przerywając pisania.

Alicja skierowała się w stronę kuchni, robiąc przystanek przy Baj, żeby ją pogłaskać. Ragana, która jak zwykle leżała przy Zoi, pozazdrościła koleżance i podbiegła do dziewczyny, wypychając swoją wielką głowę pod jej ramię. Ala nie spodziewała się takiej siły i straciła równowagę, upadając na pupę. Raga wcale nie ułatwiała jej powrotu do pozycji pionowej, wręcz przeciwnie. Zoja nawet nie próbowała interweniować, widząc, że nic poważnego się nie dzieje. Dziewczyna nie mogła powstrzymać śmiechu, w końcu po krótkiej przepychance, połączonej z pieszczotami, uwolniła się z kudłatego zamieszania i stanęła na nogi. Ominęła Baj i z Raganą przy nodze weszła do kuchni. Zauważyła słoiki z syropem z mleczy ustawione na blacie pod ścianą. — Ciekawe czy jest już gotowy i jak będzie smakował — pomyślała. Powoli zaczęła krzątać się po kuchni. Nalała wodę do czajnika i sięgnęła do szafki, gdzie wiedziała, że Zoja trzyma swoje herbaty.

— Jak już tam jesteś, to zrób cały dzbanek i dla mnie — usłyszała z werandy.

— Jakąś konkretną? — Alicja krzyknęła do uchylonego okna.

— Nie. Zaskocz mnie.

Ala wybrała owocową herbatę z wyraźną nutą truskawki. Jak tylko otworzyła słoik, po kuchni rozszedł się słodki zapach soczystych owoców. Tak, to będzie dobry wybór — pomyślała. Raga, która prawie sięgała głową do blatu, zerknęła przez moment czy znajdzie tam coś ciekawego, ale po chwili uznała, że nie. Położyła się przy wyspie kuchennej i cierpliwie czekała, aż Alicja skończy przygotowywanie napoju. Kiedy wszystko było już gotowe, Ala wzięła drewnianą tacę i ustawiła na niej dzbanek z herbatą i dwa kubki. Woląla jeszcze nie nalewać napoju z obawy przed rozlaniem. Wyszła na zewnątrz i ostrożnie postawiła tacę na stoliku.

— Mm, truskawki. Nie ma co, dobrze wybrałaś. — Tajemniczo uśmiechnęła się kobieta i zamknęła swój zeszyt.

— Ty naprawdę lubisz być sama? — zapytała Ala bez owijania w bawełnę.

— Nie zawsze, wtedy nie ma komu zrobić mi herbaty — roześmiała się Zoja.

— Skończyłam twój zeszyt i naprawdę jestem zdziwiona, że po swoich przeżyciach doszłaś do takich wniosków.

— Jakich? Bo już trochę nie pamiętam — zdziwiła się kobieta.

— No piszesz, że nie chcesz nikogo, że masz tyle czasu na robienie tego co kochasz i że dobrze ci samej. To tak mniej więcej i w skrócie — odpowiedziała Alicja.

— I co w tym dziwnego? Mówię ci, dużo lepiej jest być samej, niż z byle kim. A jeśli w twoim życiu akurat nie ma nikogo wartościowego, nie ma co marnować czasu na poszukiwania. Odpowiednia osoba sama się znajdzie, jeśli będziesz robić to co kochasz

i nauczysz się być szczęśliwa sama ze sobą. Wszechświat już o to zadba. — Mrugnęła porozumiewawczo na zakończenie zdania.

— Chyba gdzieś o tym czytałam, ale nigdy tego nie zgłębiłam. I co, przypałał się ktoś odpowiedni? — zapytała Alicja z uśmiechem.

— Hmm... — Zoja zmrużyła oczy. Przechyliła głowę i zaczęła przyglądać się dziewczynie w ten swój specyficzny sposób, po czym zapytała. — To jak, gotowa na kolejną część? — I nie czekając na odpowiedź, wstała i skierowała się w stronę domu.

Nie było jej dłuższą chwilę, a kiedy w końcu wróciła, nie miała już ze sobą skórzanego notatnika w którym przed chwilą pisała, tylko inny, cały pokryty purpurowym brokatem. Podała go Ali i ponownie rozsiadła się w okrągłym fotelu, z truskawkową herbatą w dłoniach. Alicja delikatnie otworzyła błyszczący zeszyt na pierwszej stronie, gdzie widniał numer 15. Chwilę się zawahała, a potem odłożyła nowy notatnik i wyciągnęła z szuflady wcześniejszy. Nie pomyliła się. Poprzedni zeszyt był numerem 9.

— Jak to 15? A gdzie 10, 11 i pozostałe? — zapytała z wnikliwością.

— No tak, zapomniałam, że mam do czynienia z przyszłą dziennikarką, której taki szczegół nie umknie — zaśmiała się Zoja, ale po chwili odpowiedziała.

— Nie ma potrzeby czytać wszystkich. Daję ci tylko te, które odpowiadają na twoje pytania i opisują najlepsze momenty. Poza tym, z tego co pamiętam, nie działo się zbyt dużo po moim powrocie, więc nie martw się. Naprawdę nic nie tracisz. Same rozkminy. — Mrugnęła do niej podejrzanie.

Alicji jakoś ciężko było uwierzyć, że nic się nie działo, ale w końcu to były pamiętniki Zoi. Powinna być wdzięczna, że kobieta pozwala jej czytać którekolwiek ze swoich zeszytów. Nawet Dawid powiedział, że nikt nigdy ich nie czytał. Ale nigdy nie pisała pamiętników, ale gdyby miała to robić, to najbardziej bałaby się właśnie tego, że ktoś je przeczyta. Dlatego postanowiła już dalej nie drążyć i nawet zrobiło jej się głupio, że wyskoczyła z takim bezczelnym pytaniem. Oddała skończony już zeszyt, nalała sobie aromatycznej herbaty i zabrała się do czytania nowego.

Za chwilę wybije północ.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek czas zleciał tak szybko! Przecież dopiero co przysłałam, a tu już północ!!! Muzycy przestali grać i zaczęli swoją pogadankę.

— ... zbliżamy się już do północy! Za chwilę przywitamy Nowy Rok. Mamy nadzieję, że wszyscy dobrze się bawią i mają swoje drinki przygotowane...

I właśnie wtedy lunął deszcz! Nie, że spadło kilka kropel. Normalnie jakby się chmura urwała. I może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że byliśmy na plaży, w samym sercu Afryki.

I teraz tak — taki deszcz znikąd, w miejscu gdzie zupełnie nie powinno go być, można zinterpretować na dwa sposoby — albo będzie to znak, że cały przyszły rok będzie słaby lub wręcz odwrotnie.

Jak dla mnie to był cud. Może nawet znak! Woda z nieba w miejscu, w którym nie powinno jej być, obmywająca nasze ciała, ale też dusze i umysły ze wszystkiego co stare i co już nam nie służy. Ludzie boją się deszczu, tego że zmoczy ubranie, zepsuje fryzurę czy makijaż, a tak naprawdę deszcz jest oczyszczający. Jak każda woda spływająca po naszym ciele, obmywa nas z trosk i nagromadzonych złych energii. Nie należy bać się deszczu, wręcz przeciwnie. Jeśli ma się taką możliwość, trzeba wykorzystać jego dobroczynne właściwości. To trochę jak powtarzający się chrzest od Matki Natury.

Dlatego wątpię, żeby komukolwiek w tym momencie przyszło do głowy, że ten deszcz jest czymś innym niż cudem. Piękni ludzie. (Ogólnie nie przepadam za tym gatunkiem.) Są jednak takie momenty i miejsca, gdzie ludzie są piękni. Właśnie takimi ludźmi lubię się otaczać. I nie mam tu na myśli wyglądu, tylko taką wewnętrzną piękną energię, którą emanują. Biję od nich spokój i miłość, poczucie harmonii ze światem. Na tej afrykańskiej plaży skąpanej w deszczu nikt nie patrzył w co jestem ubrana. Nikt nie miał wyszukanego makijażu, nie licząc brokatowych dekoracji czy koloru na ustach. Wszyscy byli piękni, bo naturalni, uśmiechnięci i otwarci. Kolor skóry, wzrost, wiek, rozmiar, nic takiego nie miało tu znaczenia.

Zespół, po kilku komentarzach o aktualnych warunkach atmosferycznych zaczął odliczanie ...6...5...4...

Liam przyciągnął mnie do siebie jeszcze mocniej i zanim muzycy oznajmili północ, namiętnie mnie pocałował. Rozpłynęłam się... Strugi deszczu spływały po naszych złączonych, ledwo ubranych ciałach. Wziął moją twarz w swoje męskie dłonie, które po chwili powędrowały na kark i plecy. To było takie piękne. Taka absolutna wolność. Nie liczyło się co było wczoraj czy co będzie jutro. Było tylko tu i teraz i ten początek nowego roku.

Był to idealny pierwszy pocałunek.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, deszcz powoli ustępował i byliśmy już w kolejnym roku. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy, które aż się świeciły z radości (podobnie z resztą jak pozostała część naszych twarzy). Nadal stałam na palcach, a Liam wciąż podtrzymywał mnie w talii.

Z naszego duchowego dialogu bez słów wyrwała nas Mia, nagle wyskakując z tłumy:

— Ale numer z tym deszczem! Mogłam nie malować rzęs.

— Nic się nie martw, nic nie spłynęło — zapewniłam ją.

— Happy New Year! — wykrzyknęła, zapominając już o rzęsach.

— Happy New Year! — odpowiedzieliśmy.

— Jak się bawicie? Chodź, trzeba wypić noworocznego szota. — I pociągnęła mnie za sobą w stronę baru.

Dopchałyśmy się do lady i zamówiłyśmy po szocie czystej wódki.

— I jak? Widzę, że przypadliście sobie do gustu? — wyszczerzyła się Mia.

— Noo — mój głupkowaty uśmiech wyrażał więcej niż tysiąc słów.

— I kto by pomyślał, że tyle czasu się mijaliśmy, a teraz okazało się, że mamy wspólnych znajomych.

— No trochę dni zmarnowaliśmy. Szczególnie, że niedługo wyjeżdżam, ale co tam. Lepiej późno niż wcale.

— Normalnie oczu od ciebie nie odrywa od kiedy się przedstawiłaś — zaobserwowała Mia.

Tylko się roześmiałam na te słowa, ale mega mnie polechtały.

— To chyba najlepszy sylwester jaki do tej pory przeżyłam — podsumowałam.

— Ja też! Szkoda, że tak późno się zebrałyśmy.

— Dobrze, że w ogóle się zebrałyśmy, biorąc pod uwagę nasze ambitne plany. — Roześmiałyśmy się na wspomnienie naszego pomysłu, żeby zostać w domu i iść spać. — Wracajmy na parkiet — dodałam.

Liam znalazł mnie po chwili. Podszedł od tyłu kiedy tańczyłam, wtulił się w moje włosy, objął mnie i podał piwo. (Ideal? :-D) ♥♥ Potańczyliśmy chwilę, a potem wpadłam na genialny pomysł. Chodziło mi to po głowie już wcześniej, ale dobrze, że zaczekałam, bo teraz moment był idealny. Była pełnia i z tej okazji koniecznie chciałam wykąpać się w oceanie. Poza tym to też świetny sposób na uczczenie Nowego Roku i zwrócenie naturze mojej bransoletki z cytrynów, która oddała mi już całą swoją moc. Czyż nie?

(W sumie to niezła historia z tą bransoletką. Miałam ją ze sobą kilka miesięcy wcześniej kiedy byłam w Senegal. I tam na jakiejś łódce, która przewoziła mnie na inną wyspę, zagadała do mnie pewna kobieta. Hmm... to chyba jednak była Gwinea Bissau. No nieważne. Zagadała z pytaniem czy wiem jakie kamienie noszę jako biżuterię. Odpowiedziałam, że tak i że specjalnie takie wybrałam na tę podróż. Pochwaliła mnie i pokazała mi swoje ozdoby. Czułam, że wie co mówi, więc podzieliłam się z nią moją zagwozdką, że moje cytryny, które jak sama nazwa wskazuje powinny być żółte, straciły swój kolor i teraz są zupełnie przezroczyste, jak kryształ górski. Dodałam też, że nosiłam je cały czas od kilku miesięcy. Opowiedziała mi wtedy, że kryształy przywiązują się do osoby i często potrafią odczuwać nasze emocje i energie, które nas otaczają. Wtedy najczęściej zmieniają swój kolor i należy je oczyścić. Jednak cytryn jest jednym z tych kryształów, których nie trzeba oczyszczać — to akurat już wiedziałam. Pochłania on negatywną energię i zamienia ją w pozytywną, wibrującą na wyższym poziomie. Powiedziała mi więc, że bardzo możliwe, że moje cytryny oddały mi już całą swoją pozytywną moc i teraz mogę im podziękować, zwracając je naturze w jakiś wyjątkowy sposób. Bardzo interesująca kobieta. Szkoda, że więcej jej nie spotkałam.)

No i teraz wracając do mojego noworocznego pomysłu...

Złapałam Liama za rękę i poprowadziłam w kierunku plaży. Nie protestował. Już oficjalnie miałam bransoletkę upoważniającą do wstępu, więc mogłam swobodnie przemieszczać się bez konieczności koloryzowania i kombinowania. Miałam na sobie tę samą lekką sukienkę w której chodziłam kilka dni wcześniej. Pod spodem standardowo bikini, a na stopach japonki (jeśli akurat ich nie zgubiłam). Tak właśnie wygląda idealne życie i jego najważniejsze elementy — sukienka, bikini i japonki :-), można jeszcze dorzucić jakiś kapelusz czy okulary. Są takie momenty, w których naprawdę im mniej się ma, tym lepiej. Wtedy człowiek jest naprawdę wolny i szczęśliwy.

I to był właśnie jeden z takich momentów.

Ocean był ciepły. W każdym miejscu na świecie, kiedy wchodziłam do Oceanu Indyjskiego, zawsze był ciepły (nie to co Atlantyk). Może to dlatego, że duża jego część znajduje się blisko równika. Temperatura wody była przyjemna, ale fale dość pokaźne. Im

głębiej wchodziłam, tym trudniej było z nimi walczyć. W pewnym momencie straciłam równowagę i poddałam się siłom natury. Kiedy już upadłam i próbowałam z powrotem stanąć na nogi, każda kolejna fala utrudniała mi to zadanie. Nawet przeszło mi przez myśl, że może ten ocean w środku nocy, w deszczu i po alkoholu, to nie był jednak najmądrzejszy pomysł. Na szczęście mój wybawca był tuż za mną. A że był większy i cięższy, to fale nie miały na niego aż takiego wpływu jak na mnie. Poza tym wychował się przy oceanie. Miał większą wprawę i obeznanie niż ja. Chwycił mnie i bez problemu postawił na nogi. Zdecydowanie cała ta kąpiel w oceanie, przy świetle księżyca wyglądała mniej romantycznie, niż pokazują to na filmach. Jednak mimo słonej wody w płucach i w oczach, przeżycie było niesamowite. Wręcz duchowe. Nic tak nie oczyszcza duszy i ciała (w moim przypadku wewnątrz, jak i na zewnątrz :-D), jak woda i sól, a tu miałam słoną wodę w pierwotnej postaci. Nawet jeśli wiedziałabym wcześniej, że fale będą takie silne, i tak zrobiłabym to jeszcze raz.

La Praia znajdowała się tak blisko, że słysząc było muzykę i widzieć kolorowy tłum. Tak naprawdę, bar od oceanu oddzielał jedynie pas piaszczystej plaży. Ociekając wodą jeszcze bardziej niż po deszczu, ruszyliśmy w stronę świateł. Najpierw jednak trzeba było znaleźć nasze ubrania. Nie wiem czy to dlatego, że mieliśmy zmysły ogłuszone alkoholem, czy fale rzeczywiście tak nas przeniosły, ale trochę nam zajęło zanim je odnaleźliśmy. Może też dlatego, że nie było ich dużo — podkoszulek Liama i moja sukienka, ciężko było cokolwiek wypatrzyć tylko przy świetle księżyca i gwiazd. Nawet mieliśmy się poddać, ale problem był w tym, że sukienka była Mii, a w kieszonce został mój telefon.

W końcu wróciliśmy na piaszczysty parkiet. Pojawiło się jeszcze kilku znajomych z życzeniami. Kilka dziewczyn wygłodniałe patrzyło na Liama podczas noworocznych uścisków. Zerkwały też na mnie, nie wiedząc kim jestem i skąd się wzięłam. Muzyka była świetna. Zupełnie nie przeszkadzała w tańcu. Nowoczesna (nie znam się: techno, house, dla mnie to wszystko to samo) z akcentem afrykańskich bębnów. Ciało samo poruszało się w rytmie uderzeń, które jakby pulsowały wewnątrz, budząc zastałe komórki. Coś musi być w tych bębnach skoro nawet szamani używali tego właśnie instrumentu, żeby wejść w trans. My też byliśmy w takim transie. Nasze ciała poruszały się rytmicznie, jakby każde w swoim świecie, na swojej orbicie, momentami tylko nachodząc na siebie, muskające się w tym transie co jakiś czas. Aż w końcu nasze orbity się połączyły i tańczyliśmy jak jedno ciało astralne.

Ta wolność.

Ten spokój.

Ta pierwotna energia krążąca w naszych ciałach.

Po jakimś czasie, tym razem to Liam wziął mnie za rękę i wyprowadził z tłumu w stronę plaży. Tylko że teraz nie dotarliśmy do samego oceanu. Zatrzymaliśmy się na wydmie, gdzie w objęciach doczekaliśmy wschodu słońca...

smakował jak ocean...

słono...

ale też słodko...

jak pożądanie...

nasze usta zgrywały się jakby właśnie do tego zostały stworzone...

siedziałam mu na kolanach i nasze twarze były na tej samej wysokości...

tak cudownie było czuć jego bliskość, jego ciepło...

znowu istnieliśmy tylko my... jak podczas naszego pierwszego pocałunku... jakby cały świat się zatrzymał, albo przynajmniej wszyscy ludzie z niego zniknęli...

w przerwach między namiętnymi pocałunkami gładziliśmy swoje ciała... ramiona... kark... obojczyki... piersi... brzuch... włosy

nasze dłonie tańczyły w rytm oddalonej muzyki...

odkrywaliśmy siebie nawzajem...

blizny... znamiona...

on gładził moją ledwo widoczną (no chyba, że byłam opalona tak jak teraz) bliznę na ramieniu...

ja głaskałam jego znamię pod obojczykiem...

nie wiedziałam, czy będziemy mieli czas na historie skąd te blizny, te znamiona... nie wiedziałam ile jeszcze mamy czasu razem, ale w tamtej chwili to nie miało znaczenia... byliśmy razem w swoich objęciach i nie chcieliśmy marnować czasu na zbędne słowa i rozmowy...

Z naszego świata i rozmarzenia wyrwała nas wszechotaczająca jasność.

Jedyny minus lata (choć nie wiem czy to słowo ma jakiekolwiek znaczenie w Afryce) jest taki, że noce są krótkie, a wschody słońca nadchodzą zdecydowanie za wcześnie. Dlatego kiedy ocknęliśmy się z naszego transu, słońce było już nad linią horyzontu. Idąc za rękę, powróciliśmy do rzeczywistości, a raczej to rzeczywistość znalazła nas.

— Gdzie wy byliście? Wszędzie was szukamy. — Podbiegł do nas nieznany mi chłopak.

— No na plaży. Tutaj — odpowiedział Liam.

Pewnie to jakiś jego kolega.

— No dobra. Bo impreza się skończyła i wszyscy jedziemy do Beats na basen, na after.

— Ok — stwierdził obojętnie mój nowy ukochany :-D.

— Super, muszę tylko znaleźć Mię — odpowiedziałam.

— Ona też tam będzie, wskazujcie na pakę — powiedział chłopak, wskazując na swojego pick-upa, który był już cały załadowany wewnątrz, a kilka osób siedziało też na pace.

Zawahałam się, bo nie wiedziałam co zrobić, ale wtedy jak na zawołanie pojawiła się Mia, razem z dwiema koleżankami i wszyscy zapakowaliśmy się na przyczepę.

Beats był kolejnym barem. Tym razem oddalonym od plaży, ale otoczonym mnóstwem zieleni. W sumie jak wszystko tutaj. Tylko bar i część parkietu były zadaszone, tak jakby brakowało frontowej ściany. Obok znajdował się duży basen z podwodnymi stolikami i blatem na drinki. Jakby luksusowo :-D.

Okazało się, że niedobitków z poprzedniej imprezy jest więcej, niż się spodziewałam. Wyglądało to tak, jakby połowa La Praia się tutaj przeniosła, a że miejscowość niewielka, to i większość twarzy wydawała się znajoma. Zamówiliśmy kolejne piwa i rozeszliśmy się po terenie klubu. Jedni zmęczeni tańcem ułożyli się na leżakach wokół basenu. Inni chłodzili się w wodzie. My postanowiliśmy ruszyć znowu na parkiet.

Nie wiem nawet, która była godzina, ale słońce znajdowało się już dość wysoko.

Mam coś takiego, że w swoim świecie nie noszę zegarków. Jakoś nie mają one dla mnie sensu. Po co zastanawiać się, która jest godzina, skoro czas płynie inaczej i nigdzie nie trzeba się śpieszyć. Położyłam się na leżaku, żeby w końcu trochę odpocząć. (Ile można tańczyć? — ILE SIĘ DA! :-D). Liam podszedł do mnie, usiadł obok, pocałował w usta (jak na przywitanie) i zapytał:

— Jesteś głodna? Idziemy z chłopakami zjeść pizzę. Chcesz iść?

— Nie jestem głodna. Żywię się miłością — zażartowałam. Roześmialiśmy się i Liam znowu mnie pocałował, tym razem namiętniej i dłużej.

— To masz. Może ci starczy do mojego powrotu.

— No już! Chodź! Może ci nigdzie nie ucieknie ta twoja syrena! — zawołał ktoś z grupy, która na niego czekała.

Roześmiałam się i pomachałam do nich. Liam cmoknął mnie ostatni raz i poszedł, odwracając się jeszcze ze dwa razy.

Kabaret!!! Zachowujemy się jak jakieś nastolatki. Nie pamiętam kiedy ostatnio tak miałam, ale miło, że to uczucie wróciło. No i w tym swoim rozmarzeniu zasnęłam na tym leżaku. Dobrze, że nikt mnie nie ukradł.